



# CZŁOWIEK

który  
fabrykował

# ZŁOTO.

CONAN DOYLE

CZĘŚĆ I.

## Podwójna zagadka.

— Boję się, że nie przyjdzie — powiedziała Laura McIntyre zniechęconym głosem.

— Dlaczego?

— Doprawdy, popatrz, jaka pogoda: okropność!

— W chwili gdy to mówiła, zamieć śnieżna załomotała w okno, dobrze zaopatrzone przez wąskie czerwone zasłony, a wiatr świstał i wylł poprzecz gałęzie wielkich obielonych więzów, otaczających ogród.

Robert McIntyre, przestając rysować wstał i wziął jedną z lamp, by zbadać ciemności nocne. Długie, ogołoczone ramiona nagich drzew kołysały się, szumiąc wśród śnieżnej zawieji.

Siostra młodego człowieka usiadła przy kominku, i położywszy robótkę na kolanach, podniosła oczy, by spojrzeć na profil brata, uwydatniający się wyraźnie w jaskrawo-żółtym oświetleniu.

Była to piękna postać młoda i świeża o rysach subtelnych z czarnymi wijącymi się, odrzuconymi w tył włosami, tworzącymi pukle, które zazwyczaj przypisuje się temperamentowi artystycznemu. Było coś wyrafinowanego w jego oczach, trochę wypukłych, w eleganckim *pince-nez* ze złotą oprawą i w welnianym paltocie, na którym światło lampy tworzyło tak ładne refleksy. Można było jednak spostrzedz w zmarszczkach koło ust trochę wulgarności, mało znaczącą oznakę słabego charakteru, która w oczach niektórych osób, a zwłaszcza siostry, psuły wdzięk i piękno reszty twarzy.

Jednak, wzięwszy pod uwagę teorię dziedziczności, każdy biedny śmiertelnik może z łatwością przejąć po przodkach jakąś ujemną cechę i trzeba być naprawdę wyjątkiem, by natura nie spłaciła nam długu rodzinnego, pozostającego w ukryciu.

Zresztą bezlitosny Stwórca nie oszczędził i młodej dziewczyny; na szczęście, niezwykła piękność jej twarzyczki pozwalała nie zauważyć maleńkiego defekciku.

Była ona ciemniejszą od brata; tak ciemną, że jej włosy splecione w ciężkie warkocze wydawały się czarne jak smoła. Jej rysy delikatne, uśmiech żartobliwy, brwi pięknie zarysowane, jej zadumane i zarazem śmiejące się oczy, wszystko to było bez zarzutu, jednak pozostawiało coś nie coś do życzenia. Czuło się, że była gdzieś maleńka wada, bądź w samych rysach, bądź w ogólnym wyrazie twarzy i, patrząc na nią z bliska, spostrzegano się, że pochodziło to poprostu z braku w dolnej wardze, zbyt odstającej a zarazem leciutko obwisłej. Była to rzeczywiście wada mało znacząca, która jednak wystarczała, by zrobić zaledwie ładną twarzyczkę z główki, która bez tego byłaby doskonale piękną.

Przeięta teraz na poręcz fotele z różnokolorowym, lśniącem jedwabiem na kolanach, mając ręce założone na karczku, wydawała się zniechęconą i zagniewaną.

— Z baczysz, że nie przyjdzie — powtórzyła.

— Ależ Lauro, z pewnością przyjdzie! Żaden marynarz nie boi się słońca.

— Ah! krzyknęła triumfalnie, podnosząc paluszek do góry — słuchaj!

Jednak natychmiast twarzyczka jej zachmurzyła się i przybrała wyraz rozczarowany.

— To tylko ojciec — szepnęła.

W korytarzu dały się słyszeć powłóczyście kroki i w chwilę potem wąły człowieczek, obuty w stare, zniszczone pantofle, wszedł człapiąc do pokoju.

P. McIntyre, ojciec, miał cerę bladą, spojrzenie lękliwe i nosił rudawą, przetkaną srebrnymi nitkami brodę o krótkich i rzadkich włosach. Chudy był bardzo, a ruchy miał nonsza-

lanckie i zniechęcone. Niepowodzenia i choroby pozostawiły na nim swe ślady. Przed dziesięciu laty był jednym z najbogatszych fabrykantów broni w Birmingham, jednak długi szereg niepowodzeń finansowych zrujnował go do szczeru, tak, że musiał ogłosić swą niewypłacalność. Wtedy też umarła mu żona, i wszystko to pogrążyło go w boleść tak wielką i uporczywą, że na zawsze już zachował lękliwy, niespokojny wyraz twarzy.

Gdyby nie dwieście funtów rocznej renty, które otrzymywały dzieci od zubożonego wuja z Australji, rodzina popadłaby w skrajną nędzę.

Po przyzwyczajeniu się do szczupłych dochodów, zadawałnając się skromnym domkiem, położonym wśród cichej wioski, oddalonej o czternaście mil od Tamfieldu, ważnego centrum przemysłowego w Anglii. Doszli jednak pomału do względnego dobrobytu.

Raptowna zmiana fortuny była jednak dla całej rodziny ciężkim ciosem.

Robert, z temperamentem artystycznym, przyzwyczajony do zbytku, musiał pracować dla zarobku na polu sztuki, do której od dzieciństwa uczuł dominującą skłonność. Laura zaciskała zębki, widząc litość, z jaką pocieszały ją dawne jej przyjaciółki; przytem monotonne pola Tamfieldu bezsprzecznie nudniejsze były od ożywionego światowego życia, które prowadziła w dawnej ich posiadłości, Edgbastonu. Dodawszy do tego fatalne zachowanie się ich ojca, który, nie przestając boleć nad swem nieszczęściem, pocieszał się kolejno, to książką do nabożeństwa, to znów karafeczką wódki, dojdziemy do przekonania, że mieli dość powodów do żałowania minionych dni. Tamfield miał jednak pewien powab dla Laury, lecz i ten miał jej być wydarty. Jeżeli wybrali na zamieszkanie tę właśnie wioskę, to tylko dlatego, że stary ich przyjaciel, wielbny John Spurling został mianowany pastorem tej właśnie parafji. Syn jego, Hektor Spurling, o dwa lata starszy od Laury, był od paru lat z nią zaręczony i właśnie miał ją poślubić, gdy zmiany losu, o których była mowa, przeszkodziły nagle ich zamiarom. Był on podporucznikiem marynarki i właśnie bawił na urlopie w domu ojca, a nie było wieczoru, by nie zajrzał na probostwo Emden, gdzie mieszkali państwo McIntyre. Tego dnia jednak otrzymano odeń kartkę, w której donosił, że powołują go na pokład i że ma wsiąść na okręt w Portsmouth nazajutrz wieczorem. Obiecywał zjawić się na jakie pół godziny, by się pożegnać.

— A więc, gdzie jest Hektor — zapytał McIntyre, spoglądając wokół zmrużonymi oczyma.

— Nie przyszedł, ojciec. Jakżeż chcesz, by szedł w taką niepogodę? Jestem pewna, że napadało co najmniej na wysokość dwóch stóp.

— Ach! on nie przyszedł? — wymruczał starzec, padając na kanapę. — Więc brakowało tylko tego, że on i jego ojciec nas wypędzą i to już będzie koniec.

— Och! Ojciec, jak możesz przypuszczać coś podobnego — zawołała Laura z wyrzutem — oni zawsze byli dla nas najserdeczniejszymi przyjaciółmi. Cóż by pomyśleli, gdyby który z nich to słyszał?

— Robercie — ciągnął dalej starzec, nie zwracając uwagi na protesty córki — mam ochotę napić się kropelkę wódki; nie więcej, jak kropelkę. Jeden naparstek mi wystarczy. Muszę się rozgryzać. Zdaje mi się, że zaziębłem się podczas tej wstępnego pogody.

Robert, pochylony nad albumem nie przestawał rysować, więc zamiast niego odpowiadała siostra. — Zdaje mi się, niestety, że niema już w domu ani odrobiny — odparła — podnosząc nosek z nad swej robótki.

— Lauro, Lauro! — wykrzyknął starzec boleśnie. — Nie jesteś już przecież małą dziewczynką, jesteś dorosłą kobietą, gospodynią. My liczymy na ciebie. Obydwa na ciebie liczymy, a ty pozbawiasz kropli wódki biednego brata twego, Roberta, nie mówiąc już o mnie. Wielki Boże! Lauro! coż powiedziałabyś na to twoja matka? Pomyśl o wypadkach! Pomyśl o różnych chorobach, o atakach apopleksji, którym nie można by było zapobiedz, Lauro! To jest wielka od... to jest wielka odpowiedzialność! To jest ogromne ryzyko!

— Ja nigdy nie pijam alkoholu — sucho przerwał Robert — Lauro nie dla mnie musi robić zapasy.

— Możliwe, ale jako lekarstwo, jest to nieodzowne, Robercie. Trzeba go używać, rozumiesz, moje dziecko, ale nie należy go nadużywać. W tem cały sekret! Ale wiesz?... Przejdę się pod „Trzy Gołębie“. Wrócę za pół godzinki.